GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 STYCZNIA 1938 R.

Nr. 2 ROK VIII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 2
1938 R.
15 — I

FRANCISZEK KOZŁOWSKI

ROZRACHUNEK ZE ŚWIATEM

Brak widoków na wznowienie międzynarodowych obrotów kapitałowych na wielką skalę sprzyja tendencjom samowystarczalności.

Mamy za r.ub. ujemny bilans w naszym handlu zagranicznym. Ujemność jest niewielka i, ponoć, niegroźna. Oczywiście niegroźna tylko chwilowo, bo tego rodzaju upływ żywej krwi z organizmu gospodarczego wówczas, kiedy transfuzji z zewnątrz w postaci kredytów zagranicznych brak, może wyczerpać nawet w niewielkich — jeśli tylko stałych dawkach słaby nasz organizm. Na duże transfuzje kapitałowe z zewnątrz nie mamy chyba co liczyć. Wstrząs, jaki uderzył w międzynarodowy obrót finansowy przed ośmiu laty, będzie trwał jeszcze bardzo długo. Mogą dochodzić do skutku kredyty o charakterze pozagospodarczym (vide — układy pożyczkowe z Francją), które, oczywiście, mają swe znaczenie korzystne na polu gospodarczym, jakkolwiek główny cel ich jest inny, ale to nie wystarcza. Może tu i owdzie dojść do skutku jakaś konkretna tranzakcja pożyczkowa dla rozbudowy takiego czy innego obiektu fabrycznego już istniejącego albo dla zbudowania nowego obiektu w pracującym już u nas koncernie zagranicznym, ale znów nie rozstrzyga to sprawy. Do międzynarodowego obrotu kapitałowego wkradły się siły niewymierne, nie do przezwyciężenia, a które niemniej jednak paraliżują go nieomal całkowicie: Kapitaliści krajów bogatych *boją się*. Boją się już obecnie wszystkiego: możliwości wojennych i spadku walut, ograniczeń dewizowych i konfliktów społecznych, nienawiści rasowej i skomplikowania zagadnień państwowych w krajach ubogich, spadku cen produktów żywnościowych i surowców, krachów giełdowych u siebie, niewypłacalności — u innych. Atmosfera niepewności panuje niepodzielnie. I długo jeszcze potrwa, zanim panować przestanie.

Za mało się, naszym zdaniem, powtarza u nas społeczeństwu tę wielką prawdę, iż w olbrzymim zadaniu budowy gospodarstwa narodowego Polski nieomal od podstaw zdani jesteśmy i na długo jeszcze zdani będziemy na własne siły. Odszukanie tej prawdy i wydobycie jej z pod potoku frazesów o „kooperacji międzynarodowej" i innych podobnych fikcjach jest niesłychanie trudne. Ale, niestety, prawda ta trwa — i działa. Rozwijamy się gospodarczo bardzo powoli, bo właśnie rozwijamy się *sami*. Może ktoś odpowiedzieć na to, że i tak przemysł nasz jest zalany kapitałem zagranicznym po brzegi, że w bankach prywatnych niema kapitału polskiego prawie wcale, ale w niczym nie zmieni to prawdy zasadniczej, że kapitału z zewnątrz nie otrzymujemy. Ten kapitał, który jest już w Polsce, zostaje częściowo dlatego, że zostać musi, częściowo — że robi „mimo wszystko" doskonałe interesy na swoim wielekroć monopolistycznym lub quasi monopolistycznym stanowisku na rynku, częściowo wreszcie — bo stracił w okresie kryzysu i pragnie obecnie straty te w bardziej sprzyjających okolicznościach odbić. Ale jest to niewielka „grupa operacyjna", którą kapitał międzynarodowy posłał niejako „na stracenie" i której każdy dobry interes uważany jest w dużej mierze jako... manna z nieba. Im więcej tej manny spada, tem większa szansa, iż nawet zniszczenie całej „grupy" nie przyniesie znów tak wielkich strat. A o

widmie katastrof każdy szanujący się bankier na Zachodzie myśleć musi. Należy to do dobrego tonu. I wszelkie przekonywania, że to nie grozi, nie odniosą skutku. Ostatecznie — na małą jakąś operację pójdzie. Ale o wielkiej słyszyć nie chce, wypatrując z niepokojem, czy rychło z owej „garści straceńców", zarabiających mu pieniądze (i to duże pieniądze...) w tym czy innym „dzikim kraju" nie zostanie kamienia na kamieniu.

Mamy więc przez czas pewien perspektywę niezbyt przyjemną. Można się mocno spierać o właściwe podejście do sprawy kapitału zagranicznego w gospodarstwie polskim, ale niesporne jest, że dopływ kapitału takiego na wielką, prawdziwie wielką skalę znakomicie przyśpieszyłby i ułatwił procesy naszej własnej kapitalizacji, o którą nam najbardziej chodzi. A z konieczności musi iść ona obecnie powoli, bo zbieramy przecież dosłownie „grosz do grosza". Wystarczy porównać nasze dane co do przyrostu wkładów w kasach oszczędności ze statystykami zagranicznemi (pamiętając — notabene — że wkłady w kasach oszczędności za granicą są jednym z najwęższych strumyczków kapitalizacji). Wystarczy zobaczyć rozmiar emisji kapitałowych u nas i zagranicą, rzucić okiem na kursy giełdowe, na wysokość stopy procentowej. Nasze ubóstwo kapitałowe okaże się nam tak jaskrawo, jak nigdy.

W tych warunkach nawet i nie specjalista w zakresie zagadnień obrotów z zagranicą musi dojść do wniosku, że przez długi jeszcze okres czasu musimy alimentować nasze siły gospodarcze w jedyny możliwy dla kraju ubogiego sposób — drogą sprzedaży naszych towarów i usług zagranicy. Naszych usług nie bardzo potrzebują. Wiadomo, jakie mamy trudności z emigracją. Sprzedane przez nią usługi dawały krajowi ostatnio nie więcej niż jakieś zł. 100 mil. rocznie, stanowiąc zresztą ok. 70% wszystkich innych wpływów z usług, oddanych zagranicy, liczonych po potrąceniu kosztów usług zagranicy w stosunku do nas. Nie potrzeba być chyba prorokiem, aby powiedzieć sobie, że sytuacja ta się nie zmieni w latach najbliższych. Nawet, gdyby zagadnienie emigracji żydowskiej zostało rozwiązane w najkorzystniejszy sposób...

Pozostaje tedy sprzedaż towarów. I dlatego myśl każdego ekonomisty, próbującego rozwiązać całość omawianego przez nas problemu, kieruje się odrazu do liczb naszego obrotu zagranicznego. Nie po to, aby dociekać szczegółów naszej polityki handlowo - finansowej wobec obcych krajów. Ale właśnie dla uprzytomnienia sobie niektórych stałych i zupełnie niepolitycznych faktów z tej dziedziny.

Co w obrocie towarowym z zagranicą dać nam może substrat owej transfuzji świeżej krwi do naszego organizmu gospodarczego, o którą nam tak bardzo chodzi? Oczywiście — tylko nadwyżka wywozu nad przywozem. Politycy handlu zagranicznego, walczący o t.zw. czynny bilans handlowy, rozumują w tym wypadku, naszym zdaniem, w sposób wybitnie uproszczony i krótkowzroczny. Powiadają oni, że importu zmniejszać nie wolno, bo jest w większości swej importem produkcyjnym (surowce i półfabrykaty dla przemysłu), pewne zaś minimum importu konsumcyjnego jest poprostu konieczne ze względu na stosunki wymienne z obcymi państwami itp. Ponieważ tak jest, należy — powiadają oni — zwiększać wywóz i przystosowywać jego wysokość do zwiększającego się w miarę poprawy koniunktury przywozu, aby jednak przecież obroty zrównoważyć. Rozumowanie jest koniunkturalnie zupełnie zrozumiałe, ale — jak powiadamy — na długą falę chyba krótkowzroczne. Bo prosimy tylko popatrzyć.

Wskaźnik produkcji przemysłowej mamy ciągle jeszcze o jakieś 13 — 14% niższy niż przed dziesięcioma laty, w 1928 r. Powiedzmy nawet, że jako niezupełnie właściwie obliczany jest on w gruncie rzeczy nieco wyższy, ale w każdym razie napewno poziomu sprzed dziesięciu lat nie przekracza. Zważywszy, iż w ciągu ostatniego dziesięciolecia ludność Rzeczypospolitej wzrosła prawie o 4 mil. głów, czyli o dobre kilkanaście procent, produkcja na głowę ludności wyraźnie się zmniejszyła. Rzecz jednak w tem, iż owej relatywnie zmniejszonej produkcji odpowiada przywóz na cele wytwórcze równy ilościowo lub nawet niejednokrotnie większy od poziomu sprzed lat dziesięciu. Weźmy tylko główne pozycje. Bawełny przywieźliśmy w r. ub. ok. 80 tys. ton wobec 76 tys. w 1928 r., wełny — powyżej 22 tys. ton wobec 17 tys. przed dziesięcioma laty, żelastwa — powyżej 600 tys. ton wobec 530 tys. w 1928 r., skór surowych — ok. 24 tys. ton wobec 22 tys. itd. itd. W obecnej konstelacji cen światowych import cały ten kosztuje nas tyle, że nie możemy pokryć go wywozem. Wynika z tego jedno ogólnego charakteru stwierdzenie, które, być może, należało by udowodnić dokładnie cyfrowo: jeżeli mianowicie wskaźnik produkcji jest niższy lub conajwyżej równy wskaźnikowi z 1928 r., a jednocześnie ilości przywozu surowcowego dla produkcji wzrosły, wynika stąd, iż pracujemy coraz silniej na surowcach przywożonych z zagranicy a mniej — na krajowych. Czyżby to mogło być możliwe?

Ale teraz — drugie pytanie. Dlaczego nie tylko nie posiadamy nadwyżki wywozowej nad skądinąd przecież niezbyt jeszcze kosztownym przywozem, ale nawet nie możemy tu związać końca z końcem? „Fachmany" od obrotu zagranicznego odpowiedzą nam napewno argumentem cen: jesteśmy o tyle i tyle procent drożsi od zagranicy, co utrudnia wywóz. Nie jesteśmy tym twierdzeniem przekonani, albo raczej nie jesteśmy przekonani nim dostatecznie. I to również wygląda na „prawdę koniunkturalną". Oczywiście — gdyby ceny w jakiś sposób obniżyć, odpadłyby premie i wywóz poruszyłby się łatwiej. Ale czy można było by spodziewać się jakiś zmian *radykalnych?* Czy, mianowicie, mając do pokrycia najprzód obecny miliard złotych przywozu i chcąc wygospodarować ponadto taką nadwyżkę wywozową, która by *naprawdę* mogła oddziałać na rozwój gospodarczy kraju w owych warunkach stagnacji obrotu międzynarodowego kapitałów, o której mówiliśmy powyżej, sama tylko zmiana cen wystarczyłaby dla osiągnięcia tego rezultatu? I bez tego wywieźliśmy w r.ub. ok. 11 mil. ton węgla, podczas gdy w czasie wysokiej koniunktury 1929 r., kiedy mieliśmy mniej przeszkód w tym wywozie niż obecnie, dosię-

gliśmy zaledwie niecałych 14 mil. tonn. Marża — niewielka. O zbożach niema co mówić, bo na wielkie zwiększenie wywozu tego liczyć nie sposób. Drewna wywieziemy tylko tyle, ile nam pozwoli położenie naszego drzewostanu. Z wielkich pozycji wywozowych, które mogą *na serio* zwiększyć wpływy z naszego wywozu, pozostaną nam wówczas tylko produkty mięsne i nierogacizna. Czy wystarczą? Chyba — nawet dodawszy do tego maksymalne możliwe zwiększenie wywozu węglowego — wypadnie nieco za mało.

Trudno, oczywiście, powiedzieć z wszelką pewnością, jaki mianowicie byłby nasz wywóz w wypadku zrównania się naszego poziomu cen ze światowym — i czy w tym wypadku nie urodziłyby się nowe jakieś wielkie eksporty w rodzaju „bekonowo-szynkowego" ostatnich dziesięciu lat. Ale t.zw. cudów oczekiwać nie należy. I, rozumując „z ołówkiem w ręku", można by — może — ustalić sobie następujące punkty.

Po pierwsze — nie pokrywamy przywozu obecnego wywozem, chociaż przywóz nasz idzie w lwiej części na utrzymywanie w ruchu dawnych warsztatów produkcji, a w minimalnej części tylko na powstawanie nowych (ostatecznie mieliśmy u schyłku r.ub. dokładnie o 200 tys. robotników mniej zatrudnionych w górnictwie, hutnictwie i przemyśle przetwórczym niż w 1928 r.).

Po drugie — podniesienie naszego wywozu w razie odpadnięcia hamulca wyższych polskich cen wewnętrznych pójdzie prawdopodobnie niezbyt daleko, a w każdym razie nie tak, aby mogło nam stworzyć saldo dodatnie w bilansie handlowym, mogące choć w przybliżeniu oddziałać na alimentację naszej kapitalizacji w rozmiarach zbliżonych do normalnego i niezbędnego importu kapitałów z zagranicy.

Po trzecie — takiego importu kapitałów z zagranicy spodziewać się szybko nie należy, a w ogóle nie wiadomo, czy przypadkiem nie minie jeszcze generacja czy pół generacji, zanim ujawni się on z dostateczną siłą.

Pocóż to wszystko piszemy? Czy obawiamy się nadciągających katastrof? Czy prorokujemy załamanie się bilansu płatniczego? Bynajmniej. Wydaje się — przeciwnie — że na potrzeby „bieżące" środków wystarczy. Manipulujemy ograniczeniami dewizowymi, wydaje się, wcale nienajgorzej. I jakoś to wszystko idzie.

Ale — czy można w tych warunkach myśleć o jakiejkolwiek kapitalizacji w tempie chociażby tylko nieco przyśpieszonym? Czy przypadkiem nie jest to dokładnie gospodarowaniem na zasadzie „Maciek zarobił — Maciek zjadł"? A, jeśli mu coś zostało, to minimalne tylko okruchy?

Nie pomogą nadzieje, że „kryzys się skończy". Kryzysu już dawno niema — i nowy, kto wie, już nadchodzi. I w ogóle nie jest to wcale zagadnienie kryzysowo - koniunkturalne. W XIX wieku kraj taki jak Polska rozwijaćby się musiał bez wątpienia w ten sposób, że miałby przez długi szereg lat bilans handlowy *notorycznie ujemny*. Pompowałby z zagranicy wszystko to, co byłoby mu do rozwoju potrzebne, łącznie z kapitałami, które dopiero *w następstwie* — kiedy jego rozwinięta na szerokim wachlarzu produkcja osiągnęłaby już dostateczną siłę penetracyjną na obce rynki — spłacałby zagranicy. W międzyczasie wywoziłby oczywiście swój węgiel, drewno, świnie, bekony i jaja, ale w takich ilościach, jakich by *mógł* zagranicy dostarczać. Na resztę zadłużałby się poprostu za granicą. I spłaciłby niewątpliwie swe długi doskonale.

Ale dziś zadłużać się nie może, bo mu nie dają. I, jak mówimy, bynajmniej nie z jego winy — nie dadzą prawdopodobnie w bliższej przyszłości. Powstaje dylemat, na który — (powtarzamy: nie koniunkturalnie, ale właśnie na długiej fali) — trzeba by starać się dać odpowiedź.

Odpowiedź teoretyczna jest: zredukowanie spożycia wewnętrznego lub przemiana spożycia tego na oparte o surowce krajowe. Zamiast bawełny — kotonina. Zamiast wełny — lanital czy inna namiastka. I to nie z punktu widzenia samowystarczalności wojennej, ale właśnie z punktu widzenia rozrachunku z zagranicą na dłuższą skalę: nie starcza nam i na bawełnę i na regulację Wisły, nie zarabiamy dość od zagranicy na obie te rzeczy, uważamy regulację Wisły za ważniejszą, a pożyczyć nam na bawełnę nie chcą. Wniosek, redukujemy bawełnę i chodzimy w droższej, ale własnej kotoninie.

Droższej? Otóż — czy aby droższej. Bo, że więcej kosztującej bezpośrednio, to napewno. Że — gorszej, to nie ulega wątpliwości. Ale czy przypadkiem nie rentującej się pośrednio bardziej na dłuższą metę? Na to trzeba by odpowiedzieć.

Odpowiedzą: autarkia... Może i autarkia, ale w jakim celu? Napewno nie w celach wojny agresywnej. A czy kapitalista zagraniczny, obawiając się o swe pieniądze i trzymając je bezprocentowo w bankach nowojorskim i londyńskim, nie robi *swojej* autarkii? Bo autarkia zaczyna się zawsze od silniejszego.

WITOLD PTASZYŃSKI

KAMIEŃ CZY PODATEK?

Problem techniki finansowej powinien być tylko refleksem problemu zdolności produkcyjnej kraju.

Zapewne poraz czwarty, bo działo się to na IV Kongresie Drogowym — „na wszystkich komisjach, zarówno referenci, jak biorący udział w dyskusji, byli zgodni z tem, że źródłem *stałych* trudności drogowych *był i jest* brak wystarczających funduszów". „Dlatego też" czytamy dalej w prasie codziennej „prace sekcji finansowej, która omawiała sposoby znalezienia środków na utrzymanie i budowę dróg, wzbudziły największe zainteresowanie. Olbrzymią ilość słuchaczy skupił referat inż. Richtera o finansach drogowych".

Jako ekonomista łudziłem się nadzieją, że Kongres Drogowy, złożony, o ile mogłem sądzić, prawie wyłącznie z przedstawicieli świata technicznego, wniesie na odcinek finansowania dróg ożywczy element myślenia samodzielnego, nie podporządkowanego fikcjom finansowym, jakie narzuciła Polsce gromadka ekonomistów z katedry, wykształcenia lub z tytułu pełnionych funkcyj polityczno-gospodarczych. Niestety inżynierowie drogowi zamiast myśleć kategoriami „narzędzie, surowiec, pracownik wyszkolony" przyłączyli się do rozważań finansowych, które gdyby nie okazały się już dramatyczne w swych konsekwencjach dla kraju, mogłyby się wydać wesołe w swej „prostolinijności młodzieńczej".

A więc rozważano zdobycie środków finansowych, jako problem opodatkowania różnych odcinków działalności gospodarczej (wielkie miasta, wolne zawody, obrót, konie, pojazdy konne, rowery, usprawnienia administracyjne). *Nic ponadto!*

Jedno z pism stołecznych (Goniec Warszawski) umieściło wiadomość o zamknięciu obrad kongresu p. t. „Nie doczekamy się prędko w Polsce ani szos, ani motoryzacji. Zamknięcie obrad IV Kongresu Drogowego". Epitaphium takie odpowiada bardzo ściśle wartości rozważań finansowych, prowadzonych na Kongresie, nie może bowiem ulegać wątpliwości, że gdy dyskutuje się o podatkach, a nie o kamieniu, młotach i robotniku, to z dyskusji takiej nie powstanie żaden realny projekt finansowy. Najidealniej pomyślany podatek nie umożliwia bowiem produkcji tego, czego kraj produkować nie może i naodwrót, zagadnienie formy podatku jak i każdej innej formy finansowania staje się problemem trzeciorzędnym (jako das Ding an sich), jeśli istnieją wszelkie dane dla produkcji krajowej określonego dobra. Od Kongresu Drogowego mogliśmy oczekiwać, że powie nam wyraźnie: Polska może „produkować" określone typy dróg, gdyż 1) wytwarzamy potrzebne maszyny i narzędzia, 2) posiadamy pracowników fizycznych i umysłowych przygotowanych, lub których łatwo możemy przygotować do prac drogowych i 3) rozporządzamy określonymi surowcami do budowy dróg. Gdyby w którymś z trzech punktów odpowiedź wypadła negatywnie — należało z kolei zastanowić się, jakie obciążenie naszego przywozu będzie konieczne dla zastąpienia luki własnej zdolności wytwórczej. Tak postawiona praca Kongresu Drogowego oddałaby istotne usługi sprawie finansowania naszego rozwoju gospodarczego: stwierdziłaby w jakim zakresie finansować możemy budowę dróg nie oglądając się na „biadolenia" tych, których znajomość procesów ekonomicznych ogranicza się w istocie rzeczy do przerachowywania stuzłotówek w kasach przedsiębiorstw i urzędów. Gdyby Komisja Finansowa Kongresu zajęła się ścisłym zestawieniem rachunkowym nakładów surowca, pracy i kapitału wiedzielibyśmy wreszcie, czy rzeczywiście nie mamy pieniędzy na drogi, czy też raczej „pieniądze" są w wystarczającej narazie ilości, a to w postaci jedynej ekonomicznie — ludzi, kamienia, cementu, szpadli, młotów, maszyn drogowych, hut, rud żelaznych, aparatu administracyjnego etc. Dowiedzielibyśmy się, co mamy wyprodukować dodatkowo dla umożliwienia sfinasowania wielkiego programu robót drogowych i o ile musimy podwyższyć nasz eksport, ograniczyć import lub jaką zaciągnąć pożyczkę zagraniczną, aby program ten przeprowadzić do końca. Piszemy ten artykuł, posiadając do dyspozycji jedynie sprawozdanie gazetowe z obrad IV Kongresu Drogowego. Zapewne obrady uwzględniały niektóre z podnoszonych przez nas zagadnień, ale już na podstawie posiadanych obecnie relacji można sądzić, że problem finansowania został zrozumiany wręcz odmiennie od sposobu, jaki naszym zdaniem jest jedynie właściwy, jeśli polityk gospodarczy i finansista, rozważający rozbudowę dróg w kraju, ma wykazać inne zrozumienie zagadnień, niż księgowy lub poborca podatków.

Kongres Drogowy powinien był jak mniemamy dać odpowiedź techniczną na pytanie, w jakim zakresie z polskich zasobów surowca, pracy i kapitału powstać mogą najlepsze stosunkowo drogi. Odpowiedź ta, jedynie istotna dla finansowania rozbudowy i konserwacji naszej sieci drogowej, stanowiłaby punkt wyjścia dla szczegółowego opracowania polityki finansowej i polityki gospodarczej w ogóle, zapewniającej realizację programu drogowego.

W powyższych uwagach o pracy Komisji Finansowej Kongresu Drogowego pozwoliliśmy sobie na oczywiste uproszczenia i skróty myślowe, a to jedynie w zamiarze podkreślenia, że z dwu objektów zainteresowań — „kamienia drogowego" i „podatku drogowego" — decydującym jest jedynie kamień. Zwłaszcza, że o podatku mówić może prawie każdy w dzisiejszych czasach, a o kamieniu drogowym tylko fachowiec!

Skolei pragnęlibyśmy spojrzeć na finansowanie budowy dróg bez nadmiernych uproszczeń i skrótów.

Nie mając konkretnych materiałów techniczno-obrachunkowych zmuszeni jesteśmy rozważyć zagadnienie finansowania budowy dróg w oparciu o pewne założenia, które zdaje się jednak nie będą odbiegały od rzeczywistości. Zresztą zagadnienie drogowe jest przykładem jednym z tysiąca, gdyż całość naszej zdolności wytwarzania nowych bogactw poddana została pod niezrozumiały w polskich warunkach doktrynerski szablon fikcji pieniężnej i nieskoordynowanej (przynajmniej do niedawna) polityki gospodarczej. Sprawa drogowa wydaje się tylko szczególnie jaskrawa; jaskrawszą bodaj jest jeszcze sprawa melioracyj rolnych.

Zasadą elementarną techniki finasowej jest powrót sum wydatkowanych do kasy dysponenta. Jeśli dysponentem jest państwo — powrót dokonywa się bądź w drodze podatku, bądź w drodze pożyczki udzielonej państwu, bezpośrednio lub w drodze uruchomienia gromadzących się oszczędności. Państwo może oczywiście zrezygnować z powrotnego zdobycia części wydatkowanych sum, o ile tworzenie kapitałów na drodze prywatno - gospodarczej zaspakaja w pełni potrzeby kraju. Wypadek ten nie zachodzi w Polsce — gdyż ani dróg, ani podstawowych melioracyj, ani publicznych urządzeń dla obrotu handlowego, ani wielu innych inwestycyj inicjatywa prywatna nie przeprowadza już choćby dlatego — że nie wchodzą one prawnie i administracyjnie w ramy jej zainteresowań. W Polsce zatem sumy wydatkowane z funduszów publicznych powinny wrócić do początkowego dysponenta, przyczem im powrót ten będzie szybszy, tem mniejsza nominalnie suma będzie potrzebna do zmobilizowania dla wykonania określonego programu budowy. Jeżeli np. emitując dodatkowo 50 milionów zł. środków obiegowych uzyskamy ich powrót w ciągu 3 miesięcy, wówczas wystarczy ta emisja na roczny wydatek budżetowy w wysokości $12 : 3 \rightarrow 4 \times 50 = 200$ milionów zł., podczas gdy powrót w ciągu 6 miesięcy umożliwia wydatek 100 milionów zł. rocznie. Założenie dodatkowej emisji nie jest bynajmniej konieczne: wystarczy wydatkować środki będące już w obiegu, ale w danym momencie bezczynnie pozostające w kasie. Środków takich jednak Skarb nie posiada, wskutek czego pozostają dwie główne drogi wyboru dla techniczno - finasowego zdobycia funduszów: 1) wypuścić dodatkowe środki obiegowe, albo 2) przyśpieszyć obecny obieg dóbr, a zatem i ich wytwarzanie, oraz tem samem dopływ pieniędzy do Skarbu. Droga druga jest znacznie trudniejsza, gdyż wymaga niedającego się bliżej określić oddziaływania psychicznego na całą ludność, aby ta przyśpieszyła tempo operacyj gospodarczych.

Znanym wprawdzie od lat sposobem przyśpieszenia obrotów jest obawa zwyżki cen, ale żonglowanie ze strony polityki gospodarczej hasłem zwyżki cen, zwłaszcza przy utrzymywaniu stałego parytetu waluty, jest metodą mało pożądaną dla stworzenia normalnego, długotrwałego procesu wytwórczego. Znacznie właściwszą jest metoda dodatkowej emisji (w formie głównie kredytów bankowych) przy jednoczesnym głoszeniu i realizowaniu hasła cen stałych. Jest ona również pewniejsza: wiadomo na jakie sumy można grosso modo liczyć, podczas gdy nie sposób a priori przewidywać, ile przyniesie Skarbowi ewentualne przyśpieszenie obrotów gospodarczych w kraju.

Obok dróg wyżej wymienionych, stosowanych z bardzo niejednakową dozą umiejętności [1]), wybrać można również drogę bezpośredniej rekwizycji środków produkcji, koniecznych do wykonywania programu robót publicznych. W ten sposób powstawały piramidy i urządzenia wodne nad Nilem, a współcześnie w podobny sposób tworzy się główną masę siły zbrojnej (służba powszechna wojskowa), przy czem w obu wypadkach w grę wchodzi wyłączenie rekwizycja pracy ludzkiej.

Mimo pozorów, jakie stworzyli przed opinią fachowców i laików zwolennicy polskiej deflacji jest ekonomicznie oczywiste, że zarówno przyśpieszenie obrotów, jak emisja dodatkowa, jak wreszcie rekwizycja środków produkcji nie różnią się między sobą swym wpływem na koszty własne produkcji czyli — jakby powiedzieli zwolennicy wspomnianej „metody" — swym działaniem inflacyjnym. Właściwie bowiem we wszystkich trzech wypadkach musi nastąpić przyśpieszenie obrotów lub rozszerzenie zakresu produkcji — i te tylko zjawiska, a nie same techniczne metody finansowe wpływają à la longue na poziom cen. Oto dlaczego problem techniki finansowej powinien być tylko refleksem problemu zasadniczego, którego niestety ostatni Kongres Drogowy nie rozwiązał (w swoim zakresie oczywiście) a mianowicie problemu zdolności produkcyjnej kraju.

Jeżeli zdolność ta istnieje i jak długo istnieje w pewnym chociaż stopniu niewykorzystana — żadna emisja dodatkowa nie wpłynie na zwyżkę kosztów własnych produkcji kraju, i w konsekwencji na trwałą zwyżkę cen. Nawet rentowność pośrednia nowo wytwarzanych dóbr, a więc dróg np., nie jest konieczna — choć oczywiście brak rentowności oznacza, że nowe dobro jest gospodarczo najzupełniej zbędne dla ludności kraju. Istnienie rentowności pośredniej lub bezpośredniej prowadziłoby przy dodatkowej emisji i przy naszym założeniu istnienia nadwyżki niewykorzystanej zdolności produkcyjnej — do zniżkowej tendencji cen. (por. U. S. A. 1925 — 1929).

Byłoby jednak wielkim nieporozumieniem wyobrażać sobie, że skoro mamy surowiec, maszyny i pracę ludzką *bezpośrednio* konieczne przy budowie dróg — a w chwili danej niezatrudnione — to produkcja dróg jest możliwa bez obaw zwyżki cen. Pracownik budowy dróg obróci przecież środki nabywcze, uzyskane jako swe wynagrodzenie, na zakup i zużycie b. różnorodnych dóbr, których produkcja wymaga skolei zużycia innych dóbr i pracy ludzkiej. W rezultacie, nawet pomijając potrzebę amortyzacji maszyn drogowych i produkcji surowców drogowych — poprzez wydatki pracownika wypłynie w życie gospodarcze proces dodatkowego zużycia. Okaże się, że budowa dróg, dając zarobki fabrykantom lusterek, zwiększa konsumcję szampana, zużycie prądu elektrycznego, wykorzystanie zdolności produkcyjnych cegielni itp. Wszystkich tych skutków nie mógłby

[1]) Droga przyśpieszenia obrotów zjawia się w praktyce jako wynik poprawy koniunktury.

rozpatrzeć Kongres Drogowy — jednakże uczyniłby krok naprzód w analizie finansowej zagadnienia podając dane co do bezpośredniego i ew. w początkowych stadiach następującego zużycia surowca, kapitału i pracy. Do dalszego przesunięcia linii badań zużycia, jakiego wymaga budowa dróg, nie mamy ani specjalnego aparatu, ani wyrobionych metod. Polityka gospodarcza nie jest jednak bezsilna, o ile tylko uświadamia sobie, że poziom cen nie zależy bynajmniej od takiej lub innej (klasycznej czy nowatorskiej) techniki finansowania, ale od

1) posiadanej a niewykorzystanej zdolności produkcyjnej kraju;

2) możliwości pokierowania siłą nabywczą celem wykorzystania wyłącznie tych lub innych odcinków zdolności produkcyjnej.

W punkcie drugim zawarty jest zakres działania polityki gospodarczej o znaczeniu bezwzględnie zasadniczym dla kraju, który w przyśpieszonym tempie usiłuje uzbroić się w brakujący kapitał.

Największą trudność zdaje się sprawiać eliminacja z „rachunku" czynnika wymiany z zagranicą, sądzimy jednak, że trudność ta nie jest ani większa ani mniejsza niż ściśle wewnętrzne pokierowanie zużyciem dóbr na cele produkcji z ograniczeniem celów konsumcji. W jednym i drugim wypadku konieczny jest zdecydowany radykalizm działania — o ile zdecydowane mają być wyniki. Społeczeństwo na dorobku kapitalizacyjnym oprzeć się musi na zasadzie, że konsumcję swą rozwinie nie według wzorów krajów wzbogaconych uprzednio na wymianie międzynarodowej, ale według skali własnych możliwości. W rezultacie dojdziemy do wniosku, że dobrze się dzieje, iż tramwaje są zatłoczone, ponieważ produkcję hut i import rud obracać powinniśmy na bardziej rentowne społecznie od tramwajów instytucje — natomiast źle się dzieje, gdy tramwaje kursują według niewłaściwego rozkładu jazdy, gdyż nie brak ludzi, którzy mogliby obmyśleć właściwy rozkład jazdy. Tramwaj jest w Polsce z istoty drogi — rozkład jazdy i jego przestrzeganie z istoty — tanie.

Poza odcinkiem przedsiębiorstw publiczno - monopolistycznych, które łatwo mogą być kontrolowane i kierowane — inne działy gospodarki kapitalistycznej nie dają się łatwo modelować drogą częściowych ograniczeń, reglamentacji i nadzoru. W rezultacie takich częściowych ograniczeń konsumcja czyli zużycie zdolności produkcyjnej kraju staje się domeną ukrytych cen i rent i oficjalnie nieznanych możliwości nabywania towaru (por. poczęści Niemcy współczesne!). W systemie, opartym na wolnej dyspozycji konsumenta i na niezależnym producencie — konsumcja powinnaby być w najszerszym zakresie samodzielna, natomiast zakres jej wyboru może być ograniczony. I dlatego, aby mieć możność pokierowania wzrostem kapitałów odpowiednio do ich wielkości i projektowanej rozbudowy — należy *całkowicie* zakazać wielu działów produkcji pracujących na rynek wewnętrzny, oraz *całkowicie* niedopuścić do wwozu wielu artykułów zagranicznych.

Jest to jedyny fizycznie możliwy sposób stworzenia nadwyżek zdolności produkcyjnej, które mogą skolei być zużyte dla *przyśpieszenia* produkcji typu inwestycyjno - wytwórczego, nie powodując podwyżki cen ani od strony rynku wewnętrznego, ani drogą pośrednią przez deprecjację waluty. Zakazy produkcji i importu wywołają oczywiście powstanie konsumcji substytucyjnej, ale 1) będzie to konsumcja „tania" dla kraju, gdyż konsumcja „droga" została już uniemożliwiona zakazami produkcji i 2) zależnie od klasy konsumentów znaczna część siły nabywczej dotychczas przeznaczonej na konsumcję, zostanie obrócona na kapitalizację. Innymi słowy powiedzieć można przykładowo — że stal, używana dotychczas na maszyny wyrabiające artykuły w naszych warunkach luksusowe, zostaje wskutek zakazów produkcji i importu obrócona w przyszłości na produkcję obrabiarek — czyli maszyn do wyrobu maszyn!

W finansowaniu budowy dróg związek między zdolnością wytwórczą kraju — ogólną — a możliwościami budowy istnieje jak w każdym innym wypadku. Jedynie zatem całokształt polityki gospodarczej pozwolić może na stworzenie nadwyżek produkcyjnych, które można będzie obrócić na dźwignięcie ciężaru budowy i konserwacji sieci drogowej.

Z punktu widzenia konkretnych posunięć gospodarczych znaczenie posiadają jednak nie tylko zależności ekonomiczne, ale również wielkości w nich występujące. Ważne jest, że w budowie dróg bezpośrednie zużycie kapitału (maszynowego i narzędziowego), może być stosunkowo niewielkie, większe jest zużycie surowców, a największy zakres obejmuje zużycie pracy ludzkiej.

Niewielki nakład kapitału, w części uzależnionego od obrotu zagranicznego, dać zatem może wielką porównawczo rentowność. Surowiec w dużym stopniu czerpać można w kraju bez dodatkowo poważniejszego użycia kapitałów, koniecznych do jego eksploatacji. Pozostaje więc praktycznie jako problem decydujący „sfinansowanie" nakładów pracy, bądź głównie łożonej bezpośrednio przy budowie dróg, bądź — w mniejszym znacznie stopniu łożonej w kamieniołomach, cementowniach, asfaltowniach etc. I tu możliwe są dwie drogi do wyboru:

1) albo pracownicy zapotrzebowani w związku z programem drogowym płatni będą normalnie, a wówczas bądź prowadzić będziemy radykalną politykę ograniczenia zbędnej produkcji i konsumcji oraz tworzenia nadwyżek wytwórczych, bądź — w wypadku poniechania takiej polityki — ceny będą musiały zwyżkować, bądź wreszcie zrezygnujemy z przyśpieszonej budowy dróg;

2) albo przeprowadzimy zasadę bezpłatnego świadczenia pracy przez pracowników — pokrywając jedynie koszta dodatkowe, jakich wymagałaby od nich praca przy realizacji programu rozbudowy dróg. Oznaczałoby to w zasadzie i ostatecznym rachunku utrzymanie dotychczasowego stopnia zużycia posiadanych kapitałów i surowców [1]), przy jednoczesnym silnym wzroście kapitałów nowych w postaci dróg.

---

[1]) O kapitałach i surowcach zużytych bezpośrednio w budowie dróg mówiliśmy wyżej.

Daliśmy szkic problematyki finansowania budowy sieci drogowej, nie posługując się skrótami publicystycznymi części pierwszej tego artykułu. A jednak i w tej problematyce prymat „kamienia drogowego" nad „podatkiem drogowym" ukazuje się jako całkowicie uzasadniony, podobnie jak idąc dalej w przyjętym kierunku myślenia ekonomicznego — uzasadnionym jest prymat zdolności wytwórczej kraju nad zasadami polityki pieniężnej i finansowej.

Rzecz zrozumiała, że na odcinku pieniężno - finansowym, jak na każdym innym odcinku społecznej działalności człowieka, stosowane są pewne obowiązujące w danym okresie normy, pozwalające skoordynować poczynania milionów samodzielnie reagujących psychik jednostkowych. Dalecy więc jesteśmy od chęci twierdzenia, że dyskusja o podstawach pobierania podatku, lub też o podstawach emisji banknotów i udzielania kredytu jest jałowa. Gdy jednak próbujemy rozwiązać problem, który swym rozmiarem niezwykłym, a takim jest problem kapitalizacji drogowej w Polsce, przekracza granice normalnie koordynujących zasad, wówczas *ograniczenie się* do dyskusji nad dotychczasową techniką podatkową lub pieniężną nie może doprowadzić do celu.

Trzeba sięgnąć wzrokiem poza arsenał zabiegów techniczno - finansowych, z podatkiem i kredytem na czele, do sedna rzeczy — którym jest zdolność prodykcyjna kraju i możliwość kierowania jej wykorzystaniem.

P. S. W momencie składania numeru pojawiły się w „Polsce Gospodarczej" (15 bm.) dwa artykuły, które dostarczyły obszerniejszych i ściślejszych danych o pracach IV Kongresu Drogowego, niż to uczyniła informacyjna prasa codzienna, wzięta za podstawę naszego artykułu. Z danych tych wynika, że wiele elementów bardzo cennych i istotnych z punktu widzenia problemu finansowego uwzględniły komisje niefinansowe Kongresu. Niestety, zastrzeżenia nasze, skierowane pod adresem prac Komisji Finansowej Kongresu, musimy w całości podtrzymać. Komisja ta nie wyciągnęła bowiem żadnych finansowych wniosków z wartościowych elementów, dostarczonych przez inne komisje Kongresu, nie stworzyła syntetycznego obrazu powiązań finansowych, który mógłby być miarodajny dla naszej dalszej polityki drogowej, ani w ogóle — co w polskich warunkach było najważniejsze — *problemu sfinansowania nie naświetliła*. Nasz artykuł stanowi właśnie małą próbę naświetlenia tego problemu w sposób z konieczności bardzo ogólny. Możliwość wypełnienia konkretną treścią ogólnych rozwań posiadała natomiast (lub powinna była posiadać) Komisja Finansowa, jednakże możliwości tej nie wykorzystała. Nie potrzebujemy obszernie podkreślać, że nasze krytyczne uwagi, wypowiedziane w związku z IV Kongresem Drogowym, a właściwie w związku z jego Komisją Finansową, są jedynie wyrazem jak najbardziej pozytywnego stosunku do celów, jakim Kongres ten służył, i prac technicznych, jakie prowadził.

HENRYK PNIEWSKI

TROCHĘ... FIZYKI

„On eut évité bien des fautes, bien des malheurs, si tous ceux qui se surexcitèrent aux cris d' „inflation" ou de „deflation" avaient pris auparavant le soin de déterminer les sens des mots qu'ils employaient".
(George - Edgar Bonnet „Les expériences monétaires contemporaines").

1.

Wyobraźmy sobie pewien skończony wprawdzie, lecz ogromnie liczny zbiór punktów, „płynących" w czasie [1]). Każdy z tych punktów będzie posiadał ograniczony okres trwania (istnienia); w konsekwencji żaden z nich nie będzie ani odwieczny ani wieczysty. Każdy z tych punktów będzie obarczony różnorodnymi „ładunkami". Ładunki, obarczające dany punkt, są z reguły zmienne w czasie. Istnieje wielka wprawdzie, lecz skończona liczba rodzajów tych ładunków. Z grubsza biorąc można jednak ogół ładunków rozbić na dwie kategorie: łandunki kategorii A (krócej — „ładunki A") oraz ładunki kategorii B (krócej — „ładunki B").

Dotychczas mówiliśmy o ładunkach, obarczających dany punkt. Będziemy mieli jednak do czynienia i z ładunkami innego typu. Taki ładunek *nie* jest związany (jak dotychczas rozpatrywane) z jednym tylko punktem, ale z pewną mnogością punktów, obarcza on wspólnie kilka, kilkanaście lub więcej danych punktów. Są to „ładunki kolektywne". Można jednak uratować zasadę, że każdy punkt jest obarczony tylko „swoimi" ładunkami i nie partycypuje w obarczeniu kolektywnym. Tworzymy sobie w myśli oprócz punktów dotychczas rozpatrywanych pewne punkty fikcyjne i im przypisujemy ładunki kolektywne. W dalszych rozważaniach zostanie wyjaśniona naturalność tej pozornie sztucznej koncepcji myślowej.

Możemy rozpatrywać wiele zjawisk, polegających na zachodzących w czasie zmianach ładunków, obarczających punkty. Zwrócimy specjalnie uwagę na trzy typy tych zjawisk:

a) *Zmiany w obrębie jednego punktu.* Ładunek, obarczający dany punkt, maleje lub rośnie, czy też nawet zanika stopniowo w danym okresie czasu,

[1]) W sprawie sensu terminu „punkt" porównać H. Pniewski „Ekonomia jednostki, ekonomia zbiorowości" (Gospodarka Narodowa, nr 11 z 1937 roku).

ewentualnie kilka ładunków, obarczających dany punkt, zmienia się w jeden nowy ładunek innego rodzaju.

b) *Zjawiska jednostronne między dwoma punktami.* Weźmy pod uwagę dwa punkty: *x* oraz *y*, punkt *x* jest w pewnym okresie czasu obarczony ładunkiem *a*, w pewnej chwili ładunek *a* „odrywa się" od punktu *x* i od tej chwili obarcza już punkt *y*.

c) *Zjawiska dwustronne między dwoma punktami.* Weźmy pod uwagę dwa punkty: *x* oraz *y*, w pewnym okresie czasu punkt *x* jest obarczony ładunkiem *a*, zaś punkt *y* jest równocześnie obarczony ładunkiem *b*, w pewnej chwili następuje wymiana ładunków między dwoma punktami, polegająca na tem, że ładunek *a* przestaje obarczać punkt *x*, a „przechodzi" do punktu *y* i odwrotnie ładunek *b* „przesuwa się" z *y* na punkt *x*.

Rozbiliśmy już uprzednio ogół ładunków na dwie kategorie: ładunki A i ładunki B. Przy pomocy tej klasyfikacji ładunków możemy teraz przeprowadzić pewne bardzo proste klasyfikacje zjawisk jednostronnych oraz zjawisk dwustronnych między dwoma punktami. Przeprowadzimy podział zjawisk jednostronnych na dwie kategorie: do pierwszej z nich zaliczymy dane zjawisko jednostronne wtedy i tylko wtedy, gdy ładunek „przesuwający się" z jednego punktu na drugi należy do kategorii A, do drugiej kategorii zaliczymy dane zjawisko jednostronne zawsze i tylko wtedy, jeżeli ładunek „przesuwający się" z danego punktu na inny punkt należy do kategorii B. Wprowadzimy teraz klasyfikację zjawisk dwustronnych między dwoma punktami. Klasyfikacja ta nie będzie już dwudzielna, lecz czwórdzielna. W zjawisku dwustronnym mamy do czynienia zawsze z przesunięciami przeciwnymi dwu ładunków, z których każdy należy albo do kategorii A, albo do kategorii B, w konsekwencji mamy cztery kategorie zjawisk dwustronnych, zachodzących między dwoma punktami:

1) kategoria A/A; (oba przesuwające się ładunki należą do kategorii A),
2) kategoria A/B; (pierwszy z przesuwających się ładunków należy do kategorii A, drugi — do kategorii B),
3) kategorie B/A; (pierwszy z przesuwających się ładunków należy do kategorii B, drugi — do kategorii A),
4) kategoria B/B; (oba przesuwające się ładunki należą do kategorii B).

Suma logiczna obu kategorii: A/B oraz B/A jest pewną obszerniejszą kategorią zjawisk dwustronnych, które nazwiemy „mieszanymi". W konsekwencji ostatniej definicji każde zjawisko mieszane albo należy do kategorii A/B, albo też należy do kategorii B/A, no i, oczywiście żadne zjawisko mieszane nie należy ani do kategorii A/A, ani też do B/B.

Wprowadzimy jeszcze pojęcie „strumienia". Ściślej się wyrażając, wprowadzimy dwa pojęcia, mianowicie pojęcie „strumienia A" i pojęcie „strumienia B". Rozpatrujmy pewien zbiór naszych punktów, płynących w czasie; nazwijmy ten zbiór „Z". Rozważania, dotyczące zbioru Z, ograniczymy do pewnego odcinka czasu, który to odcinek oznaczymy przez „T". Zbiór Z może zawierać wszystkie punkty, płynące w czasie, będące przedmiotem naszej teorii, lub też tylko niektóre z nich. Zbiór Z może zawierać np. tylko punkty „rzeczywiste", albo też tylko „fikcyjne", albo wreszcie jedne i drugie; jest to dla nas chwilowo obojętne. Nie stawiamy również wymagań, dotyczących długości odcinka czasowego T, może on się składać z małej, czy wielkiej liczby jednostek czasu. Weźmy teraz pod uwagę zbiór wszystkich zjawisk mieszanych, w których uczestniczy choć jeden punkt zbioru Z w okresie T. Ten zbiór zjawisk mieszanych oznaczmy literą „M". Do zbioru M będzie należało wiele bardzo różnych zjawisk mieszanych; spróbujmy sobie zdać dokładniej sprawę z tego, jakie zjawiska mieszane zaliczyliśmy do zbioru M. Przede wszystkim przyjmijmy „przestrzenny" punkt widzenia. Do zbioru M zaliczyliśmy dwa rodzaje zjawisk mieszanych:

1) oba punkty, między którymi odbywa się wymiana ładunków, należą do zbioru Z (wewnętrzna wymiana ładunków),
2) tylko jeden z punktów, między którymi odbywa się wymiana ładunków, należy do zbioru Z, drugi zaś punkt „leży" poza zbiorem Z (zewnętrzna wymiana ładunków, lub bardziej obrazowo się wyrażając — „wymiana ładunków, przekraczająca granicę zbioru Z").

Porzućmy teraz przestrzenny punkt widzenia i przejdźmy do punktu widzenia czasowego. Do zbioru M zaliczyliśmy trzy rodzaje zjawisk mieszanych:

a) zjawiska, które mieszczą się całkowicie w okresie T,
b) zjawiska o takiej strukturze czasowej, że jedno przesunięcie ładunku nastąpiło przed rozpoczęciem się okresu T, natomiast przesunięcie drugiego ładunku nastąpiło już w okresie T, (zjawiska rozpoczęte przed T, lecz zakończone w T),
c) zjawiska o takiej strukturze czasowej, że jedno przesunięcie ładunku nastąpiło jeszcze w okresie T, natomiast skorelowane z nim drugie przesunięcie nastąpiło już po okresie T, (zjawiska rozpoczęte w T, lecz zakończone po T).

Rozpatrujmy teraz nadal zbiór zjawisk mieszanych M. Wiemy, że każde zjawisko mieszane jest parą (dwójką) przesunięć ładunków, złożoną z jednego przesunięcia ładunku kategorii A i z jednego przesunięcia ładunku kategorii B. Weźmy teraz pod uwagę zbiór wszystkich przesunięć ładunków kategorii A, ale tylko takich przesunięć, które wchodzą w skład zjawisk, zaliczonych do zbioru zjawisk M. Ten zbiór przesunięć nazwiemy „*strumieniem* A" (w obrębie zbioru punktów Z i w okresie T). Teraz zaś analogicznie weźmy pod uwagę zbiór wszystkich przesunięć ładunków kategorii B, ale tylko takich, które wchodzą w skład zjawisk, zaliczonych do zbioru zjawisk mieszanych M. Ostatni zbiór przesunięć nazwiemy „*strumieniem* B" (w obrębie zbioru punktów Z i w okresie T).

Możemy teraz zestawiać ze sobą strumień A pewnego zbioru punktów ze strumieniem A innego zbioru naszych punktów. Możemy również zestawiać ze sobą strumień A danego zbioru punktów w pewnym okresie czasu, ze strumieniem A tegoż zbioru pun-

tów w innym (np. późniejszym okresie czasu). Analogicznie możemy zestawiać ze sobą strumienie B. Zastanówmy się teraz, czy możemy z esobą *ilościowo* prównać dwa strumienie A (ew. dwa strumienie B). Odpowiedź na to zagadnienie będzie pozytywna, o ile potrafimy skonstruować *miarę* zjawiska, zwanego „strumieniem A" (ew. „strumieniem B"). Sprawa wcale nie jest prosta. Przecież na samym niemal początku zaznaczyliśmy, że istnieje bardzo wielka liczba różnych rodzajów ładunków. Jakże więc mierzyć wspólną miarą ładunki różnorodne, czy też przesunięcia ładunków różnorodnych? (Trzeba przy tem pamiętać, że w obrębie danego strumienia A, czy też strumienia B mogą się znaleźć przesunięcia najzupełniej różnorodnych ładunków). Sprawa nasza nie przedstawia się jednak beznadziejnie. Możemy rozwiązać nasz problem mierzalności, opierając się tylko na dość skromnych założeniach. Zakładamy mianowicie, że możemy ze sobą porównać ilościowo każde dwa ładunki jednorodne, t.j. tego samego rodzaju. Ponieważ w obrębie kategorii A (i analogicznie w kategorii ładunków B) mamy ładunki różnorodne (t.j. różnych rodzajów), więc z przyjętego przed chwilą założenia nie wynika wcale, abyśmy umieli porównać ilościowo każde ładunki A (albo też każde dwa ładunki B). Przyjęliśmy, jak to już zapowiedziane było z góry, pewne najzupełniej skromne założenie. Przyjmiemy jeszcze założenie drugie, polegające na tem, że jako miarę przesunięcia danego ładunku przyjmiemy miarę tegoż ładunku. Wymaga to pewnego, być może, wyjaśnienia. Weźmy pod uwagę pewien rodzaj ładunków i oznaczmy go przez „E". Przypuśćmy, że ładunki rodzaju E mierzymy w gramach. Weźmy teraz pod uwagę pewien ładunek *e*, należący do rodzaju E i załóżmy, że ładunek ten waży np. 300 gramów. Załóżmy teraz, że ładunek *e* obarcza pewien punkt *x*, a w pewnej chwili przesuwa się z punktu *x* na inny punkt *y*. Jako miarę tego przesunięcia przyjmujemy również 300 gramów. Wyobraźmy sobie jednak, że po pewnym okresie czasu ładunek *e* przesuwa się z punktu *y* na punkt *z*, będziemy wówczas mieli do czynienia z tym samym wprawdzie trzystagramowym ładunkiem *e*, ale z nowym, odrębnym przesunięciem (z punktu *y* na *z*), którego miara wynosić znowu będzie 300 gramów. Łączna miara obu przesunięć wynosić będzie 600 gramów.

Po przyjęciu naszych dwu założeń, z których jedno dotyczyło porównywalności ilościowej ładunków w obrębie tego samego rodzaju, a drugie ustalało sposób mierzenia poszczególnych przesunięć ładunków z punktu na punkt, możemy już łatwo ustalić zasady mierzenia strumieni, idąc śladami statystyków gospodarczych. Przyjmiemy metodę, którą stosują statystycy gospodarczy konstruując kombinowane wskaźniki rozwojowe, czy porównawcze (np. wskaźniki produkcji, ogólny wskaźnik cen itd.). Weźmy pod uwagę dwa strumienie A, np.

1) strumień A zbioru punktów Z_1 w okresie T,

2) strumień A zbioru punktów Z_2 w okresie T,

albo też:

1) strumień A zbioru punktów Z w okresie T_1,

2) strumień A zbioru punktów Z w okresie T_2;

i załóżmy, że oba strumienie składają się z przesunięć ładunków następujących rodzajów:

$$A_1, A_2, A_3 \ldots\ldots A_n;$$

otóż w obrębie każdego z tych rodzajów przesunięcia należące do pierwszego i drugiego strumienia są porównywalne. Przyjmując za 100 łączną miarę przesunięć ładunków danego rodzaju w pierwszym strumieniu, znajdujemy wskaźnik łącznej miary przesunięć ładunków tegoż rodzaju w drugim strumieniu. Następnie konstruujemy łączny wskaźnik ważony dla całych strumieni. Ta metoda jak powszechnie wiadomo nie jest wolna od pewnych dowolności i zgoła nie jest idealna. Trudności te jednak są w praktyce na ogół przezwyciężalne. Strumienie B będziemy mierzyć i porównywać ze sobą ilościowo wedle tej samej metody, którą zastosowaliśmy do strumieni A.

Rozpatrujmy teraz pewien zbiór punktów Z w następujących po sobie okresach czasu

$$T_1, T_2, T_3 \ldots\ldots T_m;$$

dla każdego okresu czasu osobno obliczymy wskaźnik strumienia A i wskaźnik strumienia B. Zbadajmy teraz stosunek wskaźnika strumienia A do wskaźnika strumienia B; może się zdarzyć, że stwierdzimy jedną z następujących okoliczności:

a) systematyczny wzrost stosunku wskaźników,

b) systematyczny spadek stosunku,

c) przybliżoną stałość stosunku.

Spoconego i zasapanego czytelnika, który miał odwagę dobrnąć aż do tego miejsca przepraszamy za nadużycie jego cierpliwości, a zarazem możemy pocieszyć go, że w tym miejscu urywamy nasze rozważania abstrakcyjne.

2.

W rozdziale poprzednim naszkicowaliśmy skromny i w gruncie rzeczy bardzo jeszcze nieprecyzyjny zarys pewnej teorii, którą traktować można jako teorię fizykalną. Nie jest to wprawdzie fizyka otaczającego nas świata, ale fizyka pewnego świata wyobrażonego.

Zwróćmy teraz uwagę na pewną elementarną prawdę metodologiczną: Jedną i tę samą teorię można wyłożyć w różnych językach, pod warunkiem, oczywiście, że mamy do czynienia z językami przetłomaczalnymi. Ta sama zasada metodologiczna stosuje się, rzecz prosta, nie tylko do różnych języków, ale i do różnych terminologij (w gruncie rzeczy chodzi o to samo). Aby przetłomaczyć pewną teorię z jednego języka na drugi, potrzebny nam jest słownik. Zmienimy teraz terminologię naszych rozważań abstrakcyjnych poprzedniego rozdziału, opierając się na „słowniku" następującym:

1) przez „punkt" rozumiemy podmiot gospodarujący,
2) przez „punkt fikcyjny" rozumiemy podmiot gospodarujący, będący osobą prawną, a nie fizyczną,
3) przez „ładunek kategorii A" rozumiemy pieniądz (w najszerszym terminu tego rozumieniu),
4) przez „ładunek kategorii B" rozumiemy towar,

5) stosunek „obarczania punktu przez ładunek" rozumiemy jako stosunek własności.

Po dokonaniu takiego „tłomaczenia" na język „swojski" otrzymujemy z zarysu teorii fizykalnej zarys teorii ekonomicznej, przydatnej jak się zdaje w zakresie ogólnych rozważań pieniężnych. W naszym „tłomaczeniu" okaże się, że:

1) zjawiska dwustronne kategorii A/A są to akty wymiany pieniężno - pieniężnej między dwoma podmiotami gospodarującymi,
2) zjawiska dwustronne kategorii A/B są to akty wymiany pieniężno - towarowej (pieniądz za towar),
3) zjawiska dwustronne kategorii B/A są to akty wymiany towarowo - pieniężnej (towar za pieniądz),
4) zjawiska dwustronne kategorii B/B są to akty wymiany towarowo - towarowej (towar za towar bez pomocy pieniądza).

Również okaże się, że termin „strumień A" zostanie przetłomaczony na termin „strumień pieniężny", zaś termin „strumień B" na — „strumień towarowy". Istotne jest jednak, że dzięki definicjom rozdziału poprzedniego terminy „strumień pieniężny" i „strumień towarowy" uzyskują dość precyzyjny sens, czego o tych terminach nie można powiedzieć, gdy poprostu zaczerpniemy je z języka potocznego.

3.

Rozważania rozdziału pierwszego urwaliśmy na temacie następującym: Wzięliśmy pod uwagę pewien zbiór podmiotów gospodarujących Z i rozpatrywaliśmy go w kolejnych okresach czasu

$$T_1, T_2, T_3 \ldots\ldots T_n ;$$

mieliśmy zbadać rozwój stosunku wskaźnika strumienia pieniężnego do wskaźnika strumienia towarowego w rozważanym ciągu okresów. Wprowadzimy teraz dwie nowe definicje: będziemy mianowicie mówili, że w zbiorze Z, w badanym ciągu okresów występuje inflacja, wtedy i zawsze, jeżeli trend wspomnianego stosunku wskaźników jest rosnący. Odwrotnie, będziemy mówili, że występuje deflacja, jeżeli trend ten jest malejący. Oczywiście z definicji tych wynika, że możliwe jest takie ukształtowanie ciągu stosunków obu wskaźników, że ani deflacja, ani inflacja nie zachodzi. Ponadto możliwe są sytuacje wątpliwe.

Wprowadzimy jeszcze dwa terminy do naszych rozważań, mianowicie:

1) „zabieg inflacyjny",
2) „zabieg deflacyjny".

Przez „zabieg inflacyjny" będziemy rozumieli systematyczny wzrost łącznej miary ładunków kategorii A (jednego lub kilku rodzajów), przez „zabieg deflacyjny" będziemy rozumieli systematyczny spadek łącznej miary ładunków kategorii A (jednego lub kilku rodzajów). Należy tu jeszcze podkreślić, że przez „zabieg inflacyjny" rozumiemy wzrost łącznej miary istniejących ładunków kategorii A, a nie wzrost łącznej miary przesunięć ładunków kategorii A. Mówiąc bardziej „swojsko": zabieg inflacyjny polega na powiększeniu (nominalnym) obiegu *(stoku)* pieniężnego, a nie obrotu pieniężnego. Analogiczne uwagi stosują się do definicji terminu „zabieg deflacyjny".

Zdefiniowaliśmy w pewien sposób terminy „inflacja", „deflacja", „zabieg inflacyjny", „zabieg deflacyjny". Można się zastanowić nad tem, czy definicje te oddają należycie intuicje językowe, jakie w życiu potocznym odnośnie tych terminów posiadamy? Wydaje się, że na pytanie to odpowiedzieć można pozytywnie, wszelako z jednym jednak zastrzeżeniem. Kiedy się precyzuje sens pewnego terminu języka potocznego nie można nigdy *a priori* twierdzić, że dokonana precyzacja jest *jedyną* możliwą precyzacją poprawną, a jednocześnie zgodną z naszemi intuicjami językowemi.

Z rozważań rozdziałów poprzednich nie trudno wyciągnąć wniosek, że inflacja nie pokrywa się z zabiegiem inflacyjnym, ani też deflacja z zabiegiem deflacyjnym. Trzeba nawet stwierdzić wyraźnie, że jeżeli badamy pewien zbiór podmiotów gospodarujących w pewnym ciągu okresów to m. in. ewentualnościami skonstatować można również i jedną z czterech okoliczności następujących:

1) zabieg inflacyjny i inflacja,
2) zabieg inflacyjny i deflacja,
3) zabieg deflacyjny i inflacja,
4) zabieg deflacyjny i deflacja.

Z punktu widzenia praktycznego, gdy chodzi o kraj cierpiący na głód inwestycyjny i anemię obrotów gospodarczych oraz strukturalne bezrobocie, przestudiowanie możliwości zastosowania zabiegu inflacyjnego bez inflacji jest zawsze interesujące. Nie wchodząc w szczegóły tego zagadnienia, zaznaczyć jednak należy, że poszukiwanie w tym kierunku jakichś olbrzymich możliwości wydaje się z góry beznadziejne.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na pewną konsekwencję przyjętych w rozdziale niniejszym definicyj. Bierzemy pod uwagę pewien zbiór Z w ciągu kolejnych okresów czasu

$$T_1, T_2, T_3 \ldots T_n$$

i badamy, czy występuje np. deflacja. Otóż zwykle badania takie przeprowadza się dla poszczególnych gospodarstw narodowych. Tymczasem z przyjętych przez nas definicyj nie wynika wcale, że zbiór Z *musi* być gospodarstwem narodowym. Przeciwnie, jako zbiór Z, na którym przeprowadzamy badania, możemy przyjąć zbiór wszystkich w ogóle podmiotów gospodarujących tj. gospodarstwo światowe i poszukiwać czy w danym okresie mieliśmy do czynienia np. z deflacją światową. Co więcej, można sobie wyobrazić, że jako zbiór Z przyjmujemy nie całe gospodarstwo narodowe, ale jego część (np. pewien podzbiór terytorialnie ograniczony danego gospodarstwa narodowego, albo pewien podzbiór branżowo ograniczony gospodarstwa narodowego). Nie wydaje się absurdalne np. rozbicie myślowe pewnego gospodarstwa narodowego Z na dwa składniki: podzbiór Z_1 i podzbiór Z_2, mielibyśmy

$$Z = Z_1 + Z_2 ;$$

w zastosowaniu do zbioru Z_1 można by np. prowadzić politykę deflacyjną, w zastosowaniu do Z_2 inflacyjną. Gdyby zbadać teoretycznie konsekwencje tego rodzaju różnicowanej polityki kredytowej, to nie wykluczone, że można by dojść do wniosków nie pozbawionych doniosłości praktycznej.

U W A G I

TESTIMONIUM PAUPERITATIS

„Deklaracja w sprawie stanu gospodarczego wsi polskiej" ogłoszona niedawno przez Radę Społeczną przy Prymasie Poski wywołała powszechne i należne zainteresowanie.

Stanowi ona ważki i autorytatywny dokument środowiska bliskiego oficjalnej hierarchii Kościoła Katolickiego w Polsce.

Treścią deklaracji jest analiza i ocena obecnej struktury społecznej i gospodarczej wsi, oraz wskazanie w imię etyki katolickiej i sprawiedliwości społecznej na konieczność przeprowadzania reformy rolnej „w kierunku polepszenia stanu posiadania warstwy włościańskiej".

Dotychczasowy dorobek myśli społeczno - gospodarczej od zarania kultury rozróżnia dwa biegunowo przeciwne poglądy na prawo własności: materialistyczny i etyczny. Pierwszy zrodzony z filozofii pogańskiej wyrażał się w pojęciu prawa rzymskiego „jus utendi et abutendi", a w czasach nowoczesnych po przez liberalną doktrynę ekonomiczną i teorię materializmu dziejowego doprowadził do marksowskiego „Manifestu Komunistycznego", praktycznie zaś do bolszewizmu negującego indywidualne posiadanie.

Z początkiem ery chrześcijańskiej pogląd ten stopniowo zastępowany był przez etyczne ujęcie prawa własności, które źródło swe bierze w naturalnym prawie przyrodzonym, a przeto nie jest prawem absolutnym i bezwzględnym, lecz prawem ograniczonym innymi prawami przyrodzonymi, jak miłości i sprawiedliwości społecznej. Nieograniczone jus utendi et abutendi zwężone zostaje do jus procurandi et desponendi.

Po przez św. Augustyna, stwierdzającego śmiało: „Zatrzymujesz cudzą własność wtedy, gdy zatrzymujesz nadmiar" (na Ps. 142), po przez św. Tomasza, przeprowadzającego filozoficzne rozróżnienie między pojęciem własności, a identyfikowanym z nim dotąd pojęciem bezwzględnego użytkowania, dochodzimy do stwierdzeń Encykliki Rerum Novarum wiekopomnego Leona XIII:

> „Bóg nikomu nie wyznaczył części do posiadania, określenie zaś własności poszczególnych jednostek zostawił przemyślności ludzi i urządzeniom narodów. Zresztą, jakkolwiek podzielona między prywatne osoby ziemia, nie przestaje służyć wspólnemu użytkowi wszystkich" (str. 28 [1]).

> „Przygotowując sobie dobra naturalne przy pomocy przemyślności rozumu i przy pomocy sił cielesnych, przyswaja sobie tem samem człowiek tę część przyrody, *którą sam uprawił* i na której jak gdyby kształt swej osobowości wyciśnięty zostawił; skutkiem tego najzupełniej jest słuszne, by tę część przyrody posiadał jako własną i by nikomu nie było wolno naruszać jego do niej prawa" (str. 29 [1]).

Z uwłaszczeniem mas przez upowszechnienie posiadania ziemi wiąże Leon XIII takie nadzieje:

> „zniknie przepaść między olbrzymim bogactwem i straszną nędzą, a jedna klasa stanie się drugiej bliższą. Ponadto wzmoże się wydajność ziemi. Rośnie bowiem w człowieku ochota do pracy i pilności, jeśli wie, że na swojem pracuje; wnet przywiązuje się człowiek serdecznie do ziemi, którą pracą rąk własnych uprawia, spodziewając się od niej nie tylko środków do utrzymania życia potrzebnych, ale jeszcze pewnego dostatku dla siebie i dla swoich. I każdy przyzna, że to pobudzenie woli ludzkiej walnie przyczyni się do wzmożenia wydajności ziemi i bogactwa państwa" (str. 74).

Pius XI w Encyklice Quadragesimo anno rozwijając to stanowisko Leona XIII mówi:

> „Państwo zaś, dostrajając własność prywatną do potrzeb ogółu, nie wyświadcza posiadaczom prywatnym przysługi wrogiej, lecz przyjazną. Tym bowiem sposobem zapobiega skutecznie, aby własność prywatna, której Stwórca natury w swej opatrzności udzielił jako pomoc życiową nie doprowadziła do skutków nieznośnych i sobie tem samem grobu nie wykopała. Nie jest to zniesienie własności prywatnej, raczej jej obrona, nie jest to podrywanie mienia, lecz wewnętrzne jego wzmocnienie" (str. 32 i 33 [2]).

To też Kodeks Społeczny wydany za zezwoleniem Kościoła w 1927 r. przez Union Internationale d'Etudes Sociales pod protektoratem Kardynała Mercier'a, stwierdza w rozdziale IV „Własność prywatna", art. 78:

> „W szczególności w niektórych krajach wyłania się kwestia agrarna, w związku z następującemi okolicznościami: istnienie obszarów nieuprawnych, lub o niskim stopniu kultury rolnej, których jednak wzięcie pod uprawę i użyźnianie jest niezbędne dla dobra ogółu; eksploatacja techniczna zadawalająca, lecz wskutek nadmiernego skupienia wywołująca powstawanie i rozwój proletariatu wiejskiego, rzuconego na pastwę nędzy i zmuszonego bądź do opuszczenia wsi, bądź do emigracji, bądź do wszelkiej innej alternatywy, szkodliwej dla ogólnego dobra. W każdym z tych wypadków Państwo, po stwierdzeniu niepowodzenia rozwiązań mniej radykalnych, ma prawo zarządzić rozdrobnienie eksploatacji a w razie potrzeby i własności rolnej". (str. 25 [3]).

---

[1]) Rerum novarum, wydawnictwo T-wa popierania prasy katolickiej tłumaczenie ks. J. Piwowarczyka.

[2]) Quadragesimo anno. Wydanie Polskiej Kat. Agencji Prasowej. Tłumaczenie ks. Biskupa Dr. Okoniewskiego.

[3]) Kodeks Społeczny Wydanie Tow. Wiedzy Chrześcijańskiej, tłumaczenie dr. Ludwika Górskiego prof. Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Stanowisko Kościoła i myśli społecznej katolickiej w zakresie prawa własności i reformy rolnej jest więc zdawna i jasno określone. „Deklaracja” Rady Społecznej przy Prymasie Polski jest z nim w pełnej zgodzie, a nawet o wiele ostrożniejsza i powściągliwsza we wnioskach.

Obok powszechnego zainteresowania i żywej sympatii z jaką „Deklaracja” spotkała się zarówno w sferach katolickich, jak i niezbliżonych do Kościoła, wywołała ona również reakcję konserwatystów. Najobszerniejszy, a należałoby ufać niemiarodajny jest atak na „Deklarację” sformułowany w imieniu ziemiaństwa w broszurze p. t. „O Katolicką Politykę Agrarną”.

Treść broszury zarówno pod względem znajomości stanu wsi jak i orzeczeń Kościoła oraz katolickiej myśli społeczno - gospodarczej nie wykazuje znajomości rzeczy w obu dziedzinach. Jej tendencja zdążająca do wykazania sprzeczności „Deklaracji” Rady Społecznej przy Prymasie Polski z oficjalnym stanowiskiem Kościoła, a przez to wskazania, że Kościół raczej przeciwny reformie rolnej, stoi na stanowisku obrony klasowego interesu wielkiej własności, jest, — bądźmy bardzo powściągliwi w określeniu, — niewłaściwa.

Rozdźwięk między Radą Społeczną przy Prymasie Polski, a częścią opinii ziemiaństwa na sprawy prawa własności nie jest rzeczą nową, a tem bardziej — niezrozumiałą.

Metoda zastosowana przez autora dla wykazania rozbieżności Rady Społecznej i Kościoła, polegająca na powołaniu się na autorytet artykułu szambelana W. Jelskiego, a raczej artykułu nieznanego autora, wydanego jedynie staraniem i pod nazwiskiem szambelana, lub przeprowadzanie analogii stosunków w Polsce i Meksyku przez powoływanie się na zalecenia Listu Apostolskiego do Episkopatu zrewolucjonizowanego Meksyku, określić należy, stosując znowu najdalej idącą wstrzemięźliwość w wypowiedzeniu się; w płaszczyźnie moralnej — nie na poziomie katolickim, a w zakresie naukowym — nie na poziomie doktorskim.

W dwudziestocztero stronicowej krytyce „antyziemiańskiej” Rady Społecznej, stosunków w Polsce i rządów polskich, mamy taką tylko wskazówkę programową: „godzi się pouczać po dawnemu, że dwugłos plebanii i dworu zachowuje dawne walory i stanowić winien rozumnie sharmonizowaną całość — do wtóru ze szkołą powszechną”. (str. 21).

Jeżeli w ten sposób pragnął ośmieszyć autor katolicyzm lub politykę agrarną, bo broszurę zatytułował „O Katolicką politykę agrarną”, to wobec powagi i znaczenia obu zagadnień, zbyt lekkomyślnie i za wielką wziął na swe barki odpowiedzialność.

Autora broszury usprawiedliwia tylko nieznajomość właściwego stanowiska Kościoła. Każdemu wolno bronić swych interesów. Moralna ocena tej obrony zależna jest jednak od tego jakie środki w tym celu wybrano. Świadome sugerowanie radykalizmu i wywrotowej działalności Radzie Społecznej przy Prymasie Polski, wytwarzanie atmosfery rozbieżności między stanowiskiem Rady i Kościoła nie należą do środków zalecanych.

To, że autor broszury hołduje antyspołecznym, materialistycznym i pogańskim poglądom na prawo własności, jest rzeczą obojętną, byleby nie starał się dowodzić, że ponad Radą Społeczną przy Prymasie Polski jest w zgodzie z poglądami Kościoła, byleby nie wprowadzał, choćby nieświadomie, w błąd opinii, że Kościół pozytywnie ocenia jego poglądy.

Warto tem przypomnieć słowa Piusa XI Encykliki Quadragesimo anno:

> „Mimo to znaleźli się ludzie, którzy oczywiście bardzo niesłusznie —, potwarczo oskarżali Papieża i sam Kościół, że popierał i dotąd popiera strone warstw posiadających przeciw proletariuszom”.

s. o.

SPRZEDAWCY KOLUMNY ZYGMUNTA

W Nr. 23 „Gospodarki Narodowej” (za 1937 r.) ukazała się uwaga p. t. „Nabywcy kolumny Zygmunta”. Autor twierdzi, że u podstaw prawa przemysłowego leży fikcja i że fikcja ta utrzymuje się dzięki naiwności rzemieślników. Naiwność rzemieślników upodabnia ich właśnie do nabywców kolumny Zygmunta. Trzymajmy się tego barwnego porównania. Każda tranzakcja jest dwustronna. Pomówmy więc o sprzedawcach kolumny Zygmunta.

Według autora zacytowanego artykułu prawzór polskiej ustawy przemysłowej jest płodem kombinacyj wyborczych austriackiej, czarnożółtej biurokracji (czemś w rodzaju kiełbasy wyborczej dla stanu trzeciego). Otóż kłopoty wyborcze miała nie tylko „czarno-żółta” biurokracja. W r. 1927 wydano polską ustawę przemysłową, a w r. 1928 odbyły się wybory do sejmu. W r. 1929 zorganizowano izby rzemieślnicze, a w r. 1930 odbyły się nowe wybory. W r. 1934 znowelizowano ustawę przemysłową, a w r. 1935 odbyły się znowu wybory. W r. 1937 ożywiła się działalność projektodawcza na niwie prawno - przemysłowej, a w tymże roku ludziska zaczęli gadać o nowej ordynacji wyborczej do sejmu. Może ta korelacja w czasie jest zupełnie przypadkowa, ale jest.

P. Min. Roman w czasie poprzedniej sesji budżetowej prawie bez obsłonek stwierdził:”... dotychczas nie zdobyliśmy się na stworzenie faktycznego programu dla rzemiosła...”. Upłynął rok i nic się pod tym względem nie zmieniło.

Brak programu jest jednak swego rodzaju bardzo wyraźnym programem: programem pomijania potrzeb rzemiosła. To nie jest żaden zarzut, lecz tylko stwierdzenie faktu, będącego wynikiem podstawowych tendencyj polityki gospodarczej.

T. zw. sfery gospodarcze i czynnik biurokratyczny mogą prowadzić zacięte walki o władzę nad ośrodkami dyspozycji gospodarczej, ale zgodne są zupełnie, o ile chodzi o nastawienie w kierunku wzmożonego tempa koncentracji w przemyśle. Ambitna biurokracja wyczuwa przecież doskonale, że współczesny interwencjonizm i etatyzm nabiera realnego sensu dopiero po osiągnięciu przez przemysł znacznego stopnia koncentracji. W naszej polityce gospodarczej najistotniejsze, aczkolwiek czasami zawoalowane

jest właśnie to zagadnienie. Popieranie rzemiosła i rozwój innych form drobnej wytwórczości — to droga spokojnej, powolnej, lecz bardzo skomplikowanej ewolucji, która nie mieści się w ramach nastawienia na „tempo" koncentracji. Rzemiosło i drobny przemysł zostały odstawione na „boczny tor".

Chodzi o rzeczy tkwiące w głębi i w każdym szczególe życia gospodarczego. Weźmy chociażby kwestię kredytów rzemieślniczych. Sprawa nie ogranicza się bynajmniej do mikroskopijnego udziału rzemiosła w rozdziale kredytów banków państwowych. Rozprowadzenie nawet tych okruchów przeznaczonych dla rzemiosła napotyka na niesłychane trudności przede wszystkim z powodu samej struktury aparatu bankowego, absolutnie niedostosowanej do warunków drobnego wytwórcy. (Bardzo przekonywujące wywody na ten temat podaje W. Skrzywan w Nr. 45 „Polski Gospodarczej").

Jeżeli czynniki rządowe nie zdobyły się na stworzenie programu gospodarczego dla rzemiosła, to nie można tego wymagać od rzemiosła samego. Znajduje się ono na takim stopniu kultury gospodarczej, że nie jest w stanie własnym wysiłkiem przystosować się do nowoczesnych wymogów i nowoczesnych warunków.

Powołam się na świadectwo takiego przedstawiciela wielkiego przemysłu, bardzo dalekiego od forytowania rzemiosła, jak np. Cz. Klarner:

„Metody produkcji średniowiecznej gubią rzemiosło. Technika i organizacja współczesna są w stanie podnieść i uczynić pod każdym względem twórczą tę dziedzinę pracy narodowej"... „Znajdują się one (warsztaty rzemieślnicze) w niedostatku od pokoleń, gdyż były pozostawione same sobie bez zrozumienia własnej sytuacji". Ale... „rzemiosło nie może być pozostawione samo sobie. Interes publiczny wymaga, aby wysiłkiem pracy społecznej i publicznej zostało ono podniesione na wyższy poziom". („U podstaw bezrobocia", str. 240, 242 i 244).

Zamiast programu gospodarczego mamy projekty nowelizacji prawa przemysłowego. Oczywiście śmieszne jest, jeżeli z reglamentacji rzemiosła robi się uniwersalny środek na wszelkie dolegliwości gospodarcze i społeczne. Skutki faktycznego wprowadzenia w życie rygorów reglamentacyjnych mogą być szkodliwe, lecz niepotrzebnie traktuje się te rygory jako coś w ogóle niemożliwego do zrealizowania.

Postulat ograniczenia konkurencji pomimo odświętnych teoryj stanowi mądrość powszednią prawie wszystkich zawodów i grup gospodarczych. To jest nić przewijająca się w niezliczonych memoriałach, wnioskach, deklaracjach itd. Ta nić ciągnie się od kolosów kartelowych, oplątała „wolne zawody", a kończy się na karzełkach chałupniczych. W rzemiośle postulat ograniczenia konkurencji i dopływu nowych sił występuje specjalnie jaskrawo, przesłaniając wszelkie inne interesy gospodarcze i socjalne, a jednocześnie właśnie na odcinku rzemiosła najmniejszy chyba wysiłek położono na faktyczną realizację restrykcyj reglamentacyjnych. Dziesięcioletnia demagogia rzemieślników nie zmusiła jednak administracji do traktowania tej sprawy na serio. Pomijając sporadyczne wypadki, warsztatów nielegalnych wcale nie zamykano. Kary wymierzano w wysokości od 2-ch do 10-ciu złotych t. zn. w wysokości wynoszącej zaledwie ułamek ceny świadectwa przemysłowego (Jeszcze jeden rodzaj renty: „renta nielegalnych"!). Twierdzenie o niemożliwości stosowania rygorów reglamentacyjnych przyjęto a priori. Prawnoprzemysłowa kolumna Zygmunta sama przez się nie jest tak bardzo „farmazońskim" wymysłem. Natomiast biurokracja, mająca rzekomo ambicję brania spraw ekonomicznych za twarz, czasami i to dość często nie może wykonać obowiązujących przepisów. Ambitna biurokracja mało uwagi zwraca na czysto techniczną (w sensie administracyjnym) stronę urzeczywistnienia swych ambicyj.

Ustrój administracji przemysłowej jest skonstruowany ułomnie. Interwencjonizm ma do swoich usług chaotycznie rozbudowany, nieskoordynowany aparat wykonawczy. Dla przykładu zatrzymajmy się na czynnościach najprostszych. Ewidencję i kontrolę zakładów przemysłowych prowadzą obecnie: władze przemysłowe, władze skarbowe, władze ściśle techniczne i sanitarne, inspekcja pracy, ubezpieczalnia społeczna, samorząd gospodarczy i w pewnej mierze władze sądowe (rejestr handlowy). Właśnie dlatego, że jest tyle organów ewidencyjnych, żaden z nich nie jest w stanie całkowicie podołać zadaniu i objąć rzeczywiście wszystkie zakłady przemysłowe. Żaden z tych organów nie rozporządza wystarczającym aparatem kontrolnym. Stąd powstają nieprawdopodobne wprost rozbieżności w danych, posiadanych przez poszczególne organy i takież rozbieżności między temi danemi a rzeczywistością, na co wskazuje porównanie z wynikami spisu powszechnego. Zadania poszczególnych organów ciągle przeplatają się, np.: zatwierdzanie urządzeń zakładów, nadzór sanitarny, kontrola bezpieczeństwa pracy i zaliczenie do kategorii niebezpieczeństwa w ubezpieczeniu wypadkowym itd.

Jeżeli mowa o administracji przemysłowej, warto pomówić i o administracji izb rzemieślniczych. Wszystkie, słuszne zresztą zarzuty, wymierzone przeciw biurokracji izbowej, trafić muszą w pierwszym rzędzie w administrację rządową. Izby rzemieślnicze to najbardziej typowy samorząd w rozumieniu konstytucji kwietniowej, integralna część „administracji państwowej".

Kto przeczytał uważnie raz chociażby ordynację wyborczą do izb rzemieślniczych, musi dojść do przekonania, że w ogóle żadnych wyborów do izb być nie może, gdyż więcej jak jedna lista nie może być nigdy wystawiona. A ta jedna lista musi być uprzednio „uzgodniona" w wydziale przemysłowym Urzędu Wojewódzkiego. $^2/_5$ radców mianuje się już po prostu. Korona samorządu rzemieślniczego — zarząd związku izb rzemieślniczych — jest w całości, i bez żadnych „ordynacyjnych" listków figowych — mianowana. Kompetencje władz nadzorczych są mglisto określone, a w praktyce niemal nieograniczone. Zatwierdzenie budżetu polega na jego ułożeniu w Ministerstwie przed oficjalnym uchwaleniem przez radę izby, lub też na napisaniu nowego budżetu w tymże Ministerstwie, jeżeli przedtem nie nastąpiło „uzgodnienie".

Dyrektorzy izb są mianowani. W ten sposób cały aparat administracyjny izb rzemieślniczych — to przecież tylko niższa, dodatkowa instancja rządowych władz przemysłowych. Obecność czynnika społecznego nic tu nie zmienia, bo ustrój organów administracji rządowej przewiduje bardzo często, przynajmniej w zasadzie udział tego czynnika.

Fikcje są tak długo potrzebne, dopóki ich się nie zastąpi realnym programem, t. zn. programem, wyrażającym się w konkretnych czynach. Właściwej odpowiedzialności za fikcję prawa przemysłowego nie ponosi ani demagogia i naiwność rzemieślników, ani też biurokracja izbowa.

W „Nabywcach kolumny Zymunta" zwrócono uwagę na bardzo ważny i bardzo charakterystyczny rys. Mentalność rzemieślnicza jest uzależniona od zamknięcia się w cechach i izbach rzemieślniczych. Między wielkim a drobnym przemysłem istnieje naturalna przeciwstawność interesów (sprawa surowców i półfabrykatów, polityki cen itd.). Drobny przemysł został jednak rozczłonkowany na zreglamentowane rzemiosło i pozostałe, „wolne" drobne przemysły. W ten sposób została zatuszowana naturalna przeciwstawność interesów i stworzona nowa linia podziału.

Mentalność gospodarcza krystalizuje się zawsze według linii podziału. Zamiast zrozumiałej więzi interesów gospodarczych całego drobnego przemysłu powstała izolacja organizacyjna rzemiosła, oparta na przepisach prawa przemysłowego.

Komasacja drobnego przemysłu to pierwszy krok w kierunku przełamania dotychczasowej mentalności rzemieślniczej. Jest to również niezbędna przesłanka dla stworzenia nowego programu gospodarczego. Jest to najbardziej owocne ziarno w powodzi wniosków, dotyczących nowelizacji prawa przemysłowego. I to ziarno trzeba starannie odróżnić od formalnoprawnej plewy.

NOTATKI

„POLSKIE KWIATY" ... I KWIATKI

Odpowiedź moją na replikę Pana b. w. [1]) zmuszony jestem zacząć od powtórzenia tego, co napisałem w poprzedniej notatce. Mianowicie gdyby P. b. w. oparł swoje wywody w artykule „Człowiek zagospodarowujący się" na znajomości *„przeciętnych"* domowych budżetów i zacytował fakty (nagminnego oczywiście) marnotrawstwa u warstw, reprezentujących te *„przeciętne"* budżety, toby... w ogóle nie napisał swego artykułu. Paradoksalność tego twierdzenia jest tylko pozorna. Zaszczytną pracę w zakresie analizy przeciętnych budżetów wykonało wielu sumiennych autorów. Wyjaśniono przy tem przyczyny konsumcyjności budżetów i nie zaobserwowano marnotrawstwa. Opierając się na tem, wskazywałem na niewłaściwość skierowania zarzutu życia nad stan do szerokich warstw pracujących, i bardzo nieśmiało dawałem do zrozumienia autorowi potrzebę zapoznania się z „przeciętnymi" budżetami. „Nieśmiałość" owa płynęła stąd, że gotów byłbym wybaczyć dziennikarzowi nieznajomość literatury z zakresu budżetów szerokich warstw społecznych. Publicysta gospodarczy powinien znać chociażby liczby drukowane w Małym Roczniku Statystycznym. Skoro zaś P. b. w. przekłada chwyty polemiczne nad dobrą radę, spróbujemy je odparować. Z przykrością przy tem muszę stwierdzić, że gdybym chciał odpowiadać szczegółowo, musiałbym polemizować niemal z każdym słowem i zwrotem P. b. w. Tak jest z owym „szewcem" i szewską pasją" i tak jest wtedy, gdy dyskutant sugeruje mi, jakobym nie zwrócił uwagi na jego „dobitne podkreślenia" i, jakobym uważał, że „źle gospodarować można tylko dużym budżetem", że „sam fakt operowania niskim budżetem równoznaczny jest z faktem dobrego gospodarowania". O tóż tego rodzaju sugestię uczynioną *w dobrej wierze* należy uznać za grube nieporozumienie, czy niezrozumienie moich wywodów (złą wolę wykluczam, albowiem wtedy należałoby zaniechać odpowiedzi). Powtórzę więc innymi słowy to, co powiedziałem zdawało się dość jasno, co jest truizmem i co można stwierdzić zajrzawszy do Małego Roczn. Stat. *Im niższe zarobki, tem większy udział przypada na wydatki konsumcyjne.* W niskich dochodach, nie zaś w złej polityce wydatkowej, tkwi tedy przyczyna konsumcyjności *„przeciętnych"* budżetów. Znowu powtarzam, że nie mówię o wysokich dochodach, w stosunku do których wywody P. b. w. są może po stokroć słuszne. Niestety P. b. w. zarzut życia nad stan postawił najszerszym warstwom pracującym i — jak widzimy — upiera się przy swoim błędzie. I aby dowieść słuszności swego stanowiska powiada, że widział robotników pijących wódkę, że zna pana, co zarabia 200 zł i kupił odbiornik radiowy za 300 zł, że żony panów zarabiających po 300 zł „paradują w kosztownych futrach".

Moja pani, moja pani, pani wie?!... Przecieram oczy i widzę, że „to" jest argumentacja użyta w rubryce „życie gospodarcze" Gazety Polskiej. Na tej „podstawie" autor powiada dalej: „sądzimy, że udowodniliśmy, iż złe gospodarowanie spotyka się i przy małych dochodach; a przeto i zalecanie lepszego gospodarowania jest zawsze aktualne".

„Spotyka się" w Polsce (i to dość licznie) przestępców kryminalnych. Nie wiem jednak, czy ktokolwiek bądź wyciągnąłby stąd wniosek, że jesteśmy społeczeństwem kryminalistów. Jeśli zaś chodzi o „zalecanie", to np. lekarz może bezrobotnemu zalecać wyjazd na Capri. Przeważnie jednak tego nie czyni. Z „argumentów" wysuniętych przez P. b. w. jedno pijaństwo jest sprawą dostatecznie powszechną i poważną. P. b. w. wie jednak prawdopodobnie, iż przyczyny tej klęski społecznej są bardziej złożo-

[1]) Gazeta Polska z dn. 1.I.1938 — „artykulik" (zapożyczając stylu P. b. w.) „Ksiądz do szewca", wywołany moją uwagą polemiczną p. t. „Zjadacze chleba" w Nr 23 G. N.

ne niż zwykła lekkomyślność, i że walki z alkoholizmem nie da się uprościć do propagandy oszczędności. Nie dość więc „podkreślić" fakt niskich zarobków w Polsce, trzeba wyciągnąć stąd odpowiednie wnioski. Wnioski zaś — powtarzam — poszłyby wbrew dalszym wywodom, względnie uniemożliwiłyby ich kontynuowanie. Mogłoby się np. okazać, że jedną z przyczyn pijaństwa jest właśnie nędza, zbyt niskie zarobki.

P. b. w. powiada, żem chciał go „zastrzelić" zacytowaniem budżetu radcowskiego. Istotnie sądziłem, że P. b. w. ulegnie sugestii i zestawi sobie ten budżet, nie typowy na nasze stosunki, z budżetami „przeciętnymi" (przy tej okazji je pozna) i wyciągnie wnioski, które pozwolą mu w duchu chociażby stwierdzić swoją omyłkę. Szanowny oponent z kilkunastu pozycyj „strzelił" do jednej i... chybił. Radcostwo — powiada — nie powinni mieć pomocnicy domowej, bo we Francji, Anglii i Ameryce ludzie na tym poziomie zarobku służby nie mają. A no, gdyby byli we Francji, Anglii i Ameryce toby nie mieli, bo nie potrzebowaliby, a w Polsce muszą mieć i to nie przez przesądy towarzyskie, czy chętkę do życia nad stan. Na zachodzie są takie udogodnienia życiowe, że instytucja pomocnicy domowej jest prawie nie znana, jest zbędna, *nie kalkuluje się*. Bo wszelkie ciężkie prace są wykonywane mechanicznie, albo przez specjalną i tanią obsługę. Bo na zachodzie są tanie przedszkola i jest ich wiele. Bo jednym słowem — wszystko, co jest w Polsce, trzeba rozważać na tle polskich stosunków. Wtedyby się okazało, że w rezultacie pomocnica domowa w Polsce taniej się kalkuluje od przychodniej obsługi i dorywczego wyręczania się z prac, którym nie tylko radczyni nie podoła.

W znajomości i odczuciu polskiej rzeczywistości „ludzie prości", bodaj że górują m. inn. nad ekonomistami. Wiech w jednym ze swych opowiadanek mówi o uczcie chłopców gazeciarzy. Po lepszym utargu ze sprzedaży nadzwyczajnych dodatków, kupili sobie niebożęta „polskich kwiatów", co w ich języku oznacza okrawki z wędlin, zjedli — i to była dla nich uczta. Określenie gazeciarzy (skrawki wędlin — „polskie kwiaty") jest wprost uderzające swą trafnością i wyrazistością, doskonałą, życiową, namacalną, i dotkliwą oceną stosunków i własnej sytuacji, charakterystyką rzeczywistości i położenia szerokich warstw w Polsce.

Niech P. b. w. wyobrazi sobie siebie w roli kaznodziei „dobrotliwie po księżowsku" uczącego głodnych malców „kapitalizacji" nadwyżki dochodowej, powstałej ze sprzedaży nadzwyczajnych dodatków, „lepszej polityki wydatkowej", „życia w stanie" (trawestując zwrot P. b. w.) itp. Teraz chyba z całą plastyką zrozumie niewłaściwość swych obu kazań świątecznych, skierowanych do „zjadaczy chleba" i — od wielkiego święta—„polskich kwiatów"; w szczególności ostatniego kazania, co mu jednak można wybaczyć, bo słabość argumentów świadczy, że pisał kazania w pasji. Kaznodziejska pasja też jest znana. Polega ona na wygłaszaniu kazań, w myśl których wierni mają postępować wedle słów, a nie czynów kaznodziei. Ale o taką perfidię P. b. w. nie posądzam. Natomiast o pasję owszem i to niekoniecznie księżowską. Kwiatkami polemicznymi nazwałbym operowanie urojonymi argumentami, wkładanie w usta przeciwnika dogodnych dla siebie twierdzeń oraz upieranie się przy swoim, nawet błędnym, byle swoim zdaniu.

Dalej P. b. w. poucza, już mnie samego, że osiągnięcie równowagi budżetu państwowego stało się możliwe „przez drakońskie obcięcie wydatków, przez usunięcie marnotrawstwa". Otóż to pierwsze jest zrozumiałe, szczególnie gdy pomyślę o obniżeniu o 7% najniższych uposażeń, przy podwyżce najwyższych. Usunięcie marnotrawstwa trudniej zrozumieć, bo deficyt sięgał paruset milionów złotych przez kilka lat, marnotrawstwa zaś wyłoniono bardzo maleńko. Deficyt zrównoważono przede wszystkim przez wzrost dochodów (podatek specjalny, ożywienie gospodarcze), a nie redukcję wydatków, gdyż budżet wzrasta. Czyżby Panu b. w. znów poplątało się jedno z drugim, tak, jak poplątały się budżety milionowych mas z budżetami górnych kilku tysięcy?

Wreszcie pan b. w. zapomniał o sprawie bodaj najważniejszej. Obecna polityka gospodarcza poszła w kierunku forsowania inwestycji, i to zarówno kosztem odpowiedniej zmiany polityki kredytowej (ograniczenie kredytów budowlanych, zniżka stopy Banku Polskiego, P. K. O. itp.), *jak kosztem nie podwyższania* płac i akumulacji tą drogą środków na finansowanie inwestycyj. W tej sytuacji namawianie pracowników najemnych do oszczędzania z nierosnących dochodów, przy rosnących cenach, ma co najmniej wartość „dobrych rad" dawanych bliźnim, gdy ich bolą zęby.

Reasumując musimy uznać rozumowanie Pana b. w. za typowe rozumowanie ludzi sytych, którzy po zaspokojeniu wszystkich potrzeb stają przed problemem: odłożyć czy kupić auto. Po czem to samo rozumowanie stosuje się do „zjadaczy chleba", nie pomyślawszy o tem, że jeżeli się każe „ludziom prostym" oszczędzać, trzeba dać uprzednio możliwość zaspokojenia elementarnych potrzeb. Przy czem potrzeby te nie dadzą się uszeregować wedle abstrakcyjnych zasad idealnego homo oeconomicus. Zwykłemu śmiertelnikowi bowiem nie wystarcza zaspokojenie potrzeb t. zw. ściśle gospodarczych, gdyż są inne, których zaspokojenie nieraz przekłada się ponad potrzeby gospodarcze. Dobrotliwymi kazaniami nie sprawi się tego, aby ktoś kto nie ma czego jeść zaczął oszczędzać albo ktoś, kto ma mały budżet nie pozwalał sobie np. na radio. Bo radio to może akurat stanowić jedyną radość w życiu, właśnie z uwagi na szczupły budżet, futro zaś można kupić za zaoszczędzone pieniądze, okazyjnie, taniej od palta.

Bo.. itd. itd.

Ale skończmy na tem, jako że jest taka bajeczka o dziadku i obrazku.

OD REDAKCJI

W Nr 360 „Gazety Polskiej" z dn. 30 grudnia 1937 roku, opublikowany został list p. prof. dr Leopolda Caro w sprawie zamieszczonego w Nr 23 „Gospodarki Narodowej" artykułu Andrzeja Małeckiego p. t. „Fetysz wolnego handlu". Z listu tego wynika, że p. prof. Caro wspomniany artykuł zrozumiał jako wymierzony przeciwko sobie, co w jego mniemaniu jest tem dziwniejsze, że poglądy jego powinny być dostatecznie znane redakcji i p. A. Małeckiemu. Śpieszymy sprostować niezawinione przez nas nieporozumienie: artykuł p. A. Małeckiego nie był wymierzony przeciw komukolwiek ad personam, poruszona zaś na marginesie rozważań nad „fetyszem" wolnego handlu sprawa kwestionariusza posłużyła nie jako dowód poglądów naukowych autora, ale jako przykład panującej ogólnie atmosfery dokoła „idei wolnego handlu": kwestionariusz aby posiadać stylizację „obiektywną" musi mieć ze względu na swych odbiorców właśnie taki, a nie inny „tenor". Jest to niewątpliwie okoliczność charakterystyczna, godna podkreślenia. W związku z powyższym zarzut nie wymienienia nazwiska autora kwestionariusza, jak również użycia terminu „grupa ekonomistów" nie wydaje się uzasadniony.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" JACEK RUDZIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.